

Prof. dr hab. Henryk Domański

Logika struktury

Academia: Co to jest struktura społeczna?

Henryk Domański: Układ relacji między jakimiś obiektami. Tymi obiektami mogą być ludzie, instytucje i różne grupy społeczne. Istnieje wiele struktur, między innymi struktura klasowa. Są też rozmaite hierarchie, które trudno byłoby określić mianem struktury klasowej. Takie, które się odtwarzają i są zinstytucjonalizowane – wszelkie układy między rządem, Kościołem, ośrodkami publicznymi, organizacjami, w których ludzie działają. Struktura społeczna to są również układy między jednostkami w ramach rodzin, rodzinami bliższymi i dalszymi, relacje sąsiedzkie i w kręgu znajomych.

Które pan jako socjolog bada?

Są dwie tradycje w socjologii. Jedna, wywodząca się między innymi z marksizmu, koncentrowała się na strukturze klasowej. Druga – na stratyfikacji społecznej, gdzie nie przesądza się, że elementami struktury nie są klasy społeczne, ale jakieś inne hierarchie i dystanse, które można np. nazywać warstwami. Ale bada się również wszelkie relacje, o których powiedziałem przed chwilą, m.in. relacje związane z przynależnością do różnych instytucji. Najważniejsze jest to, że społeczeństwo nie istnieje bez struktury społecznej, a więc struktura być musi.

Jakie mamy w Polsce główne warstwy, klasy?

Zanim odpowiem na pani pytanie, zadam inne: co to jest klasa społeczna? Klasy społeczne są zbiorowościami wyodrębniającymi się ze względu na różne rodzaje własności – firmy, kapitału, wykształcenia, szczególnych kwalifikacji lub tylko siły roboczej. Różne rodzaje własności są „zasobami”, określającymi pozycję rynkową jednostek – mają „cenę”, która przekłada się na określone dochody,

siłę przetargową, władzę (lub podleganie kontroli), możliwości awansu, styl życia. Podstawowymi klasami społecznymi są robotnicy, chłopi, mali i średni właściciele, pracownicy umysłowi, specjaliści i elity biznesu. I tutaj się pojawia problem, ile tych kategorii jest, jakich właścicieli i jakich pracowników najemnych wyróżniać. Tak definiował przynależność klasową Max Weber. W XX wieku pojawiły się teorie, które zwróciły uwagę, że na tę pozycję rynkową nadbudowuje się coś jeszcze. Zastługą Pierre'a Bourdieu było zwrócenie uwagi, że klasy społeczne są nie tylko zbiorami pozycji określonymi przez ich usytuowanie w ramach stosunków własności i wielkość siły rynkowej, ale że przynależność do nich kształtowana jest również przez kapitały kulturowy i społeczny. Poza tym wyróżniał jeszcze kapitały: symboliczny i „ludzki”. Biorąc to wszystko pod uwagę, mogę powiedzieć, że Polska nie odbiega w tej chwili od innych demokracji zachodnich i krajów podlegających procesom modernizacji, zaczynając od uprzemysłowienia, industrializacji, a kończąc na rozbudowaniu sektora usług.

Czy coś się zmieniło w strukturze społecznej po 1989 roku?

W latach 1988-2012 nie zwiększyła się otwartość struktury klasowej ujmowana w postaci dziedziczenia pozycji rodziców, barier w wyborze małżonka i barier towarzyskich między inteligencją, pracownikami umysłowymi niższego szczebla, właścicielami i kategoriami rolników. Podobnie kształtowały się nierówności klasowe pod względem poziomu dochodów i zagrożenia bezrobociem, chociaż na początku lat 90. dokonał się wzrost rozwarstwienia, a w szczególności zwiększyła się różnica między dochodami wyższych kierowników i specjalistów a klasą robotniczą. Nakładały się na to nierów-

ności związane z zagrożeniem bezrobociem, które stało się nowym wymiarem podziałów klasowych.

Nowymi wymiarami stały się również: uczestniczenie w wyborach i stratyfikacja pod względem uczestniczenia w protestach. Nic nie wskazuje, żeby w latach 1990-2012 dokonywało się zanikanie wpływu klasy społecznej na udział w demonstracjach ulicznych, preferencje partyjne i uczestniczenie w wyborach. Wprawdzie przynależność klasowa jest stosunkowo słabym wyznacznikiem preferencji wyborczych, ale jeszcze słabiej rysuje się wpływ innych podziałów społecznych, związanych z religijnością, zatrudnieniem w sektorze gospodarki, wielkością miejsca zamieszkania i przynależnością do różnych grup wieku. Kolejnym potwierdzeniem obecności podziałów klasowych jest sfera orientacji i postaw. Klasy uprzywilejowane, dysponujące większymi kapitałami własności i wiedzy, wyrażają mniejsze poparcie dla interwencjonizmu państwowego, a równocześnie są większymi zwolennikami tolerancji obyczajowej wyrażającej się w postaci akceptacji dla homoseksualizmu, zdrady małżeńskiej i stosunków seksualnych przed ślubem. Klasy niższe odwrotnie. Wynikałoby stąd, że członkowie różnych klas zachowują się zgodnie z własnymi interesami. Inteligentów łączy nie tylko wspólnota interesów ekonomicznych, polegających na obronie uprzywilejowanych pozycji, ale także wyznawanie tych samych wartości dotyczących form życia małżeńskiego i wartości rodzinnych.

Po 1989 roku znika nomenklatura – klasa panująca w systemie komunistycznym. Powstaje pytanie, czy na jej miejsce rodzi się klasa właścicieli środków produkcji, czyli kategoria przejmująca rolę „panowania klasowego” w systemie kapitalistycznym? Odpowiedź: rodzi się, ale powoli. Mamy klasę „wielkich” kapi-

talistów czy też dysponentów środków produkcji, których charakterystyczną cechą jest posiadanie prywatnej własności. Elitę biznesu. To są ci, którzy mają największe zasoby materialne i kapitał społeczny, bez którego by nie byli klasą kapitalistów. Czy mają kapitał kulturowy? Chyba nie w takim stopniu, w jakim by chcieli. Kapitał kulturowy w dalszym ciągu ma inteligencja. Oczywiście w dalszym ciągu mamy elitę polityczną, ale nie spełnia ona kryteriów klasy społecznej, ponieważ nie występuje tu dziedziczenie pozycji rodziców. Do niej się wchodzi i wychodzi.

Inteligencja i specjaliści zaczęli funkcjonować na rynku kapitalistycznym. Jeżeli chodzi o ich stosunek do rzeczywistości, to zaczęli się orientować bardziej niż kiedyś na bycie profesjonalistami, na kształcenie się po to, żeby więcej uzyskać, żeby pokazać, że należą do ludzi sukcesu. Upodabnia ich to do kategorii, którą w krajach anglosaskich określa się mianem wyższej klasy średniej.

To prawnicy, dobrzy lekarze, doradcy biznesowi...

Część z nich to specjaliści od marketingu, biznesu, bankowości, tych instytucji, które pojawiły się po upadku poprzedniego systemu. Silnie angażują się w pracę zawodową, nie mają czasu na bycie typowymi inteligentami. Z tego powodu są mniej obecni w sferze kultury, np. czytają prawdopodobnie

Prof. dr hab. Henryk Domański

mniej niż inteligencji w okresie PRL, jednak w dalszym ciągu reprezentują wysoki kapitał kulturowy, tylko że innego rodzaju. Systemową cechą mechanizmów rekrutacji do inteligencji jest obniżenie się roli wyższego wykształcenia. O ile w PRL po ukończeniu wyższych studiów inteligentami czy specjalistami stawało się 75% tych osób, to teraz kształtuje się to na poziomie 35-40%. Wyższe wykształcenie straciło wysoką wartość rynkową. Jeżeli chodzi o pracowników umysłowych niższego szczebla, to ich jest ok. 30%. Kategoria ta systematycznie się zwiększa, jednak najbardziej zwiększa się liczebność szeregowych pracowników handlu i usług – z 6-7% do 16%.

A właściciele małych firm?

Właścicielami w PRL byli rzemieślnicy, „badylarze”, kategoria degradowana przez władzę i ciesząca się uznaniem społeczeństwa. Dokonał się wzrost ich liczebności z ok. 3% w 1988 roku (w Polsce było ich najwięcej w społeczeństwach komunistycznych), do 7-9 % w chwili obecnej. Z analiz, które prowadziłem na początku lat 90., wynika, że rekrutowali się oni głównie z klas niższych – robotników i rolników – a obecnie częściej z pracowników umysłowych. Świadczy to o ich przekształcaniu się pod względem pochodzenia społecznego w kierunku upodabniania się do „nowych” klas średnich.

Z drugiej strony zmniejsza się relatywny udział robotników w strukturze społecznej. W 1988 roku robotników wykwalifikowanych było 25-26%, a teraz jest jakieś 16%. Wskazuje to na procesy upodabniania się do nowoczesnych systemów rynkowych, odchodzenie od dominacji klasy robotniczej i kategorii rolników. W latach 80. mieliśmy 23% właścicieli gospodarstw, teraz tylko 7-8%, chociaż w porównaniu z innymi krajami odsetek rolników jest w dalszym ciągu wysoki.

Jak obecnie w wymiarze prestiżu oceniana jest władza?

W latach 90. dokonuje się sukcesywny spadek prestiżu ministra. Od 1991 do 1995 roku prestiż ministra zmniejszył się z 77 do 62 na skali od 0 do 100

do 1999 roku obniżył się on do 59, dochodząc do najniższego punktu w latach 2004-2006, gdy kształtował się na poziomie 48-50. Radykalny charakter tych zmian sugeruje, że w ocenie społecznej dokonana się degradacja przedstawicieli władzy politycznej. Minister przesunął się z wierzchołka na sam dół hierarchii prestiżu zawodów, lokując się na poziomie referenta, niewykwalifikowanego robotnika i sprzątaczkę. Degradacja objęła wszystkich przedstawicieli klasy rządzącej. Drugim jej reprezentantem – o którego nie pytano respondentów we wcześniejszych badaniach – był poseł na Sejm. W 2004 roku, na liście 36 zawodów, minister i poseł znaleźli się na drugiej i trzeciej pozycji od dołu, wyprzedzając tylko działacza partii politycznej usytuowanego najniżej. W 2004 roku nie najlepiej oceniani byli również przedstawiciele władzy lokalnej. Wojewoda znalazł się na 25., a prezydent miasta na 27. pozycji.

To zaskakujący wynik?

Jednym z podstawowych wyznaczników prestiżu zawodów jest władza przypisana do wysokich stanowisk. To, że przejście od ustroju totalitarnego do demokracji pociągnęło za sobą obniżenie szacunku dla polityków, jest paradoksalnym zjawiskiem. Jednak z drugiej strony można realistycznie założyć, że politycy obdarzani są w każdym systemie tym większą estymą, im większy dystans dzieli zwykłych obywateli od władzy. Wiele wskazuje, że system komunistyczny miał słabe poparcie i uzyskiwał co najwyżej pragmatyczną legitymizację (musiał być, więc trzeba się było z tym zgodzić). Równocześnie jednak, w świadomości przeciętnego obywatela, minister uosabiał autorytet władzy, którą należy szanować.

Upadek tego systemu znamionuje zmniejszenie się dystansu między obywatelem i władzą. Po pierwsze, politycy wyłaniany są drogą wyborów, co oznacza, że zajmują najwyższe stanowiska tylko czasowo, a po zakończeniu kadencji stają się zwykłymi obywatelami i wracają na stare pozycje. Po drugie, kariera polityczna jest w warunkach demokracji

„Zmniejsza się relatywny udział robotników w strukturze społecznej. W 1988 roku robotników wykwalifikowanych było 25-26%, a teraz jest jakieś 16%” – mówi prof. Domański. Na zdjęciu: demonstracja NSZZ „Solidarność” w Stoczni Gdańskiej przeciwko likwidacji przedsiębiorstwa

otwarta dla wszystkich, co oznacza, że pozycje te stały się łatwiej zastępowalne, a – zgodnie z funkcjonalną teorią uwarstwienia – to, co jest łatwiej zastąpić, oceniane jest niżej. Po trzecie, ministrowie, postawie, wojewodowie i prezydenci miast wystawieni zostali na krytykę medialną, uwydatniającą ich ludzkie słabości. Można powiedzieć, że demokracja osłabiła mistycyzm władzy, odbierając jej prestiż.

Pojawiła się też kategoria underclass.

Tak, ona jest charakterystyczną cechą systemu rynkowego i w Polsce kategorią nową. Najistotniejsze pytanie odnosi się do problemu, czy kategoria ludzi dotkniętych największym ubóstwem zasługuje na miano underclass. Rozstrzygnięcie tej kwestii musi być punktem wyjścia jakiejś



kolwiek dyskusji na temat perspektyw formowania się tego segmentu. W latach 90. i w pierwszej dekadzie XXI wieku było ich około 8-10% i sytuowali się, średnio rzecz biorąc, na najniższych szczeblach hierarchii społecznej. Jednak odpowiadając na newralgiczne pytanie, czy kategoria ta przekształca się w trwały segment, będący odpowiednikiem zachodniej underclass, należy stwierdzić, że nie wystąpiły oznaki tego procesu. Świadczy o tym brak wyraźnych dystansów w różnych wymiarach stratyfikacji pomiędzy kategoriami robotniczymi i rolnikami, czyli klasą niższą w Polsce, a kategorią ludzi ubogich. Niemniej jednak przynależność do tej kategorii wiąże się z niskimi dochodami i wykluczeniem społecznym – osoby te są poza rynkiem pracy, są to stali bezrobotni. Problem polega na tym, że

stabilność w tym wypadku oznacza, że dzieci tych osób dziedziczą ubóstwo.

Na ile w ogóle można zmienić swoją pozycję w stosunku do pozycji rodziców?

Utrzymywanie się wysokiej samorekrutacji sugerowałoby brak większych zmian w sile otwartości struktury społecznej. Wyniki moich analiz wskazywałyby na pewne obniżenie się stopnia otwartości struktury społecznej w latach 1988-2005 w porównaniu z 1988 rokiem i ponowny wzrost otwartości w latach 2005-2011. Trudno byłoby się w tej tendencji dopatrywać wpływu czynnika politycznego. W okresie największego obniżenia się otwartości (1999-2005) rządziła prawicowa koalicja AWS, zastąpiona w 2001 roku przez

lewicową SLD, której rządy zakończyły się spektakularnym upadkiem w wyborach 2005 roku. Przyczynowo ważniejszym czynnikiem pewnej konsolidacji struktury społecznej mógł być wzrost bezrobocia, które w latach 2002-2003 zwiększyło się do nienotowanego wcześniej – i później – poziomu 20%. Towarzyszący temu wzrost niepewności powinien więc bardziej skłaniać do stabilności zawodowej niż do zmiany pozycji – w przeciwieństwie do następnego okresu, który charakteryzował się sukcesywnym spadkiem stopy bezrobocia. W 2009 roku obniżyło się ono do 7,9%. Drugim czynnikiem wzrostu otwartości struktury społecznej w latach 2005-2011 mógł być skokowy wzrost emigracji po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. O ile odnotowana dla 2005

roku liczba emigrantów na pobyt stały wynosiła 22,2 tys., to w 2006 roku podskoczyła ona do 47 tys. Odnotowane tu „otwarcie się” struktury społecznej stanowiłoby efekt odpływu emigrantów, którzy pozostawili do obsadzenia więcej pozycji. Mechanizm zwiększenia się ruchliwości mógł być również psychologicznym efektem gotowości mieszkańców Polski do zmiany pozycji zawodowej bez konieczności wyjeżdżania za granicę.

A jak jest z innymi możliwościami awansu, np. poprzez małżeństwo?

Małżonkowie i znajomi dobierają się według systemu wartości, tego, że można się z kimś porozumieć, dogadać, więc z tego m.in. powodu odsetek doboru par o podobnym statusie jest większy niż odsetek dziedziczenia pozycji rodziców. Można by powiedzieć, że otwartość międzypokoleniowa, czyli możliwości przechodzenia z pozycji rodziców na inne pozycje, jest większa niż odsetek homogamii małżeńskiej. To jest istotne, bo wprawdzie nie zmienia tak bardzo pozycji rynkowej jednostek, ale utrwała pozycję społeczną. Wynika stąd, że nie zależy tylko od wyznaczników położenia ekonomicznego, ale też od własnych wyborów. Nikt nas nie zmusza do tego, sami wybieramy partnera z podobnej kategorii. Jeszcze silniejsza zależność od wartości i postaw dotyczy wyboru znajomych. W tym przypadku odsetek osób zawierających przyjaźnie i znajomości z ludźmi o podobnym statusie jest stosunkowo największy.

Zatem mamy dość utrwalone, jak mówią socjologowie – „spetryfikowane”, społeczeństwo.

Podobnie jest w innych krajach. Jest to zgodne z zasadami funkcjonowania społeczeństw. Logika wskazuje, że np. różnie rozumianych megaliansów za dużo być nie może, bo społeczeństwo by się zdezintegrowało, nie po prostu rozpadło.

Współczynnik Giniego wzrósł, społeczeństwo się różnicowało. Na ile Polacy są skłonni akceptować tę zmianę?

Oczywiście, że każdy chciałby zarabiać więcej, do tego nie trzeba socjologii. Czy rokuje to źle stabilności i rozwojowi stosunków rynkowych? Analiza innego aspektu przyzwolenia na nierówność sugerowałaby, że tak nie jest. Potwierdzeniem pragmatycznego stosunku do kwestii nierówności są ustalenia pochodzące z badań, w których opinie na temat zarobków otrzymuje się z odpowiedzi na pytanie: „Będę czytał teraz nazwy różnych zawodów. Proszę podać w przybliżeniu wysokość miesięcznych zarobków, jakie – zdaniem Pana(i) – zwykle otrzymują ludzie wykonujący te zawody, a następnie zarobki, jakie – Pana(i) zdaniem powinni otrzymywać. Interesują nas typowi pracownicy, którzy wykształceniem i zdolnościami nie różnią się zbytnio od większości w tym samym zawodzie”. Dla każdego zawodu obliczona zostaje średnia zarobków odnośnie do tego, jak „jest naprawdę” i jak „być powinno”. I teraz: czy ta postulowana, sprawiedliwa hierarchia pokrywa się z tą hierarchią, która zdaniem ludzi istnieje, czy się nie pokrywa? Gdyby się nie pokrywała, to można powiedzieć, że ludzie są niezadowoleni, trzeba coś zmienić.

No właśnie, jak to wygląda?

Ustalenia te prowadzą do dwóch wniosków. Po pierwsze, społeczeństwo polskie nie kwestionuje istniejącej hierarchii. Ludzie nie chcą jej zmieniać, kierując się innymi zasadami sprawiedliwości. W szczególności postulaty sprawiedliwej dystrybucji dochodów nie idą w kierunku premiowania zawodów wymagających wyższego wykształcenia (takich jak lekarz) kosztem uprzywilejowanych finansowo reprezentantów wielkiego biznesu. Parasol pragmatycznej akceptacji obejmuje również polityków, czego świadectwem są wyższe kwoty postulowanych zarobków dla ministra niż przedstawicieli inteligencji, mimo wyjątkowo niskiego prestiżu polityków. A więc to, „co jest”, ma sens – uzasadnia się przez sam fakt, że istnieje. Po drugie, akceptacja kształtu hierarchii dochodów łączy się z postulowaniem zmniejszenia jej rozpiętości. Postulaty zarobkowe dla właścicieli,

Prof. dr hab. Henryk Domański

jest jest badaczem struktury społecznej w Polsce. Ukończył studia na Wydziale Socjologii UW, doktorat obronił w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W latach 200-2012 dyrektor IFiS PAN; kierownik Zakładu Badań Struktury Społecznej. Wykładowca i stypendysta wielu prestiżowych uczelni na świecie. Autor kilkudziesięciu książek i artykułów poświęconych stratyfikacji i ruchliwości, m.in.: „Rola klasyfikacji zawodów w analizie struktury społecznej” (1985), „Wzory prestiżu a struktura społeczna” (1991), „Zadowolony niewolnik. Studium o zróżnicowaniu społecznym między kobietami i mężczyznami w Polsce” (1992), „Społeczeństwa klasy średniej” (1994), „O ruchliwości społecznej w Polsce” (2004), „Społeczeństwa europejskie, stratyfikacja i systemy wartości” (2009), „Sprawiedliwe nierówności zarobków” (2013).

dyrektorów, polityków i przedstawicieli inteligencji kształtowały się na niższym poziomie od kwot postrzeganych zarobków. Według potocznej sprawiedliwości reprezentanci tych zawodów zasługują na mniej, niż uzyskują faktycznie. Odwrotnie jest w przypadku pozostałych kategorii zawodowych. Zarobki, które się w nich „powinno” uzyskiwać, są wyższe, czego efektem jest zmniejszenie różnicy między średnimi dla najwyższej i najniższej wynagradzanych zawodów. Można by więc powiedzieć, że ludzie nie są skłonni do popierania rewolucyjnej zmiany. ■

Rozmawiała
Anna Zawadzka
zdjęcia Jakub Ostalowski